



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### NIEŚMIERTELNIK.

Nie ma barw ni aromatów,  
Stoi z osobna od gminu,  
Arcykapłan w państwie kwiatów,  
Nieśmiertelnik, brat wawrzynu.

Umaczany w nimbie złotój,  
Z ascetyczną, bladą cerą,  
On jest świętym kwiatem cnoty,  
Co rozkwitnie tam dopiero.

Dopóki wiosna znikoma  
Swe wiązanki i korony  
Sypnie pełnemi rękoma,  
On wzrasta niepostrzeżony.

Lecz gdy zima zetnie kwiaty,  
Gdy marzenia omyliły,  
I sam laur usycha z laty,  
On jeden strzeże mogiły.

Stój samotny i daleki,  
By się ludzie domyślili,  
Że co jaśnieć ma na wieki,  
Nie może błyszczeć dla chwili.

*Deotyma.*

### ZABAWKI NAUKOWE.

W JAKI SPOSÓB OTRZYMAĆ KWAS WĘGLOWY.

Każdy, kto zechce nas wysłuchać, może otrzymać pewną ilość kwasu węglowego następującym sposobem. Z syfonu z wodą selcerską nalewamy trochę wody do szklanki i za pomocą słomki lub szklaniej rurki wciągamy ją a potem i przenosimy do jakiegokolwiek naczynia; gdy już w ten spo-



sób wypróżniliśmy syfon, (do naszej szklanki zaś należy wpuszczać za każdym razem bardzo nie wiele wody z syfonu,) wtedy będziemy ją mieli napelnioną kwasem węglowym, który jako cięższy od powietrza w nią zostaje. Przykryjmy ją dla większej ostrożności spodeczkiem, gdyż powietrze zwolna mieszałoby się z kwasem i zabierzmy się do roboty baniek mydlanych. Oto pierwsza piękna bańka zabłysła na końcu słomki, upuścmy ją w szklankę z kwasem, (A) najpierw podskoczy lekko w górę, (B) poczem zacznie pęcznić, rozszerzać się pod wpływem kwasu, który do jej wnętrza wnika (C). A wreszcie bańka pęka, gdy dotrze do brzegów szklanki.

Możecie też przy pomocy owej szklanki urządzać nastę-

pujący figiel. Zapalcie zapałkę i mówcie osobom niewtajemniczonym w wasze przygotowania:

— Gdy wsunę do téj szklanki zapałkę, natychmiast zgaśnie.

Tak się też dzieje, gdyż kwas węglowy nie podtrzymuje palenia.

A. M.

## PRZED LAT TYSIĄCEM.

(Dalszy ciąg).

— Dzięki ci, o panie — rzekł arcykapłan pochylając głowę przed cesarem.

W parę godzin po téj rozmowie, w lektyce osłoniętej gęstą zasłoną i eskortowanej przez kilkunastu żołnierzy, Kornelia przybyła do pałacu cesarów.

Pokój do którego ją wprowadzono, podobny był do rozkwitłej centofolii. Ściany, posadzka, sufit, wszystko pokryte było różową, przezroczą tkaniną, usianą błyszczącymi kryształkami, błyszczącymi niby krople rosy. Co tylko najwykwintniejszy zbytek owéj epoki mógł wymyśleć, wszystko znalazło się w tym pokoju: najcenniejsze kobierce i kwiaty, miękkie wezglowia, onyksowe kolumny i złote wazony. Powietrze przesiąknięte wonią róż, czyste jednak było i świeże.

— Niewolnice oczekują twoich rozkazów, dostojna pani — rzekł przywódca pretoryańskiej straży Norbanus, który przyprowadził Kornelię — jesteś tutaj w niczem niekrepowaną władczynią, tylko braknie ci wolności... Zresztą od ciebie saméj zależy by wolność była ci wróconą natychmiast.

Uklonił się i odszedł.

— Mnie przeniesiono do złoconej klatki, a Kwintus w mamertyńskich lochach pozostał! — z goryczą szepnęła Kornelia, wodząc wzrokiem po czarującej komnacie. Kiedy podniosła ciężką, złotem bramowaną zasłonę i ujrzała sypialnię zaopatrzoną, we wszystko, czego znakomita rzymianka do toalety swéj potrzebować mogła; w drzwiach na wspaniałych skórach pantery spały dwie niewolnice. Więc była strzeżoną!... Wróciwszy do pierwszego pokoju, Kornelia próbowała, czy drzwi przez które Norbanus ją wprowadził, były z zewnątrz zaryglowane, przycisnęła je lekko... hebanowe drzwi obróciły się na zawiasach. Żywa i rezolutna dziewczyna, postanowiła próbować ucieczki, gdy spojrzenie które wysłała w głąb korytarza przekonało ją, że jéj radość była przedwczesną. Trzech uzbrojonych pretoryanów stało na straży, a jeden z nich Gal, olbrzym o szerokich barach zbliżył się do Kornelii i prosił, aby dostojna pani raczyła wrócić do swoich pokojów.

Przez kilka tygodni przebywała Kornelia w pałacu cesarów i Norbanus, który w dzień przychodził zapytywać, czyli nie zamierza wyrzec się nazareńskich błędów, zawsze jednakową otrzymywał odpowiedź:

— Zostałam chrześcianką, bo mam przekonanie, że tylko religia Chrystusa może zapewnić ludzkiej duszy spokój na téj ziemi i wieczność szczęśliwą; dla miłości Chrystusa gotowa jestem umrzeć każdej chwili i mego Boga nie wypnę się nigdy! nigdy!...

Pewnej nocy nałożono Kornelii okowy i pod strażą oddziału pretoryanów powróciła znów do lochu mamertyńskiego więzienia.

### XX.

Szóstego kwietnia, we dwie godziny po wschodzie słońca, w arenie Flawijskiego amfiteatru miały się odbyć najrozmaitsze zabawy i bitwy na wodzie, walki gladiatorów z dzikimi zwierzętami, oraz wiele innych igrzysk w podobnym rodzaju.

Kwiecień, ów najroskoszniejszy miesiąc w krajach południowych, rozpoczął się w r. 96 po nar. Chrystusa z najroz-

koszniejszym przepychem. Roma z licznymi swojemi ogrodami przedstawiała czarujący widok: zdawało się jakoby całe miasto o siedmiu pagórkach szatę świąteczną przywdziało, na uczczenie uroczystości jubileuszowych, które rozpoczęły się świetnymi wyścigami w wielkim cyrku.

A więc szóstego kwietnia na godzinę przed rozpoczęciem widowiska, już ulice oświecone zorzą poranną roily się nieprzelicznym tłumem ludzi. Całe szeregi lektyk lśniących złotem i purpurą, z trudnością pośród ciżby przeciskały się zmierzając do amfiteatru, gdzie trzysta lwów, tyleż panter, pięćdziesiąt niedźwiedzi, czterdzieści słoni, sześciuset gladiatorów, tyluż siłaczy i szermierzy, dwunastu rozbójników schwytanym na Appijskiéj drodze, kilka kobiet i karłów, oraz dziewięćdziesięciu chrześcian miało w ciągu trzech dni walczyć, w większych lub mniejszych grupach.

Heroldowie na te zabawy, w imię imperatora zapraszali lud wywołując zwykłą w takich razach formułę:

„Pójdźcie na widowiska, jakich żaden z was dotąd nie widział, i jakich nikt z was nie ujrzy już nigdy!”

Liczba przybyszów, którzy do Romy ze wszystkich stron olbrzymiego rzymskiego państwa ściągnęli powiększała się z każdą chwilą, a jakkolwiek w amfiteatrze przeszło ośmdziesiąt tysięcy widzów pomieścić się mogło, wszelako, wobec niesłychanego natłoku nikt nie był pewien, czy mu się uda zdobyć miejsce. Pośród lektyk do areny dążących, jedna szczególnie wyróżniała się bogactwem i przepięknymi ozdobami. Złotem haftowane firanki były odsunięte, a piękne i przepysznie strojne młode dziewczyny rozmawiały leżąc na miękkich poduszkach. Jedną z tych dziewczyn była to Galijka Likoryda, znana w całej Romie i wielbiona dla swéj niezwykłej, cudownéj urody i dowcipu; drugą była przyjaciółka Likorydy Leaina, która ubiegłą zimę spędziła w Atenach i dopiero wczorajszej nocy wróciła ze swéj podróży.

— Szkoda żeś się spóźniła, na rozpoczęcie uroczystości jubileuszowych — mówiła Likoryda. — Nie masz pojęcia, moje złotko, jakie to było wspaniałe!

— Opowiedźże mi przynajmniej o tych wspaniałościach — prosiła Leaina.

— Właśnie zamierzam to uczynić. Otóż uroczystości jubileuszowe zaczynają się od pochodu z Kapitolu do wielkiego cyrku. Ten pochód nazywa się *pompa*. Na koniach jak śnieg białych, najpiękniejsi i najdostojniejsi młodzieńcy Romy otwierają pochód. Następnie idą dwu i czterokołowe wozy, tancerze, lutniści, gitarzyści, kapłani w całym swoim majestacie, wreszcie senatorowie i dostojnicy państwowi, w koronach ze złotych dębowych liści i w świątecznych togach tryumfatorów...

— Czy i Tytus Klaudyusz arcykapłan Jowiszowy miał udział w tym pochodzie — przerwała Leaina.

— Ach! zaiste, jakie dajesz pytanie, jakgdyby Ateny leżały poza światem. Oczywiście nie wiesz o tem, co przez dni kilka wyłącznie zajmowało Romę. Tytus Klaudyusz od połowy marca jest śmiertelnie chory. Stracił przytomność, osiwił, bredzi w malignie i gorączka go pożera, podobno nie ma nadziei aby chorobę przetrzymał. Chociaż nikt w Romie nie ma dość czasu, aby się losem jednostek zajmować, wszelako Tytusem Klaudyuszem do dziś dnia się zajmują. Najpierw oburzano się na Kwintusa, ale później pożałowano tego ideału piękności młodzieńczej, rozumu i siły i setki znakomitych osób usiłowały go ratować. I ja też, lubo taka jestem leniwa, jak ci wiadomo, krzątałam się bardzo gorliwie. Błagałam cesarzową, bo nie pamiętam czym ci doniosła, że cesarzowa Domicya obdarza mię swemi względami... Wszystko napróżno!... Imperator jest nieugięty. Nawet gdy Tytus Klaudyusz błagał, aby zamiast Kwintusa, on poniósł karę i był rzucony dzikim bestyom na pożarcie, nawet i wówczas cesarz odmówił. Teraz nadzieja tylko w tem, że w amfiteatrze lud zażąda dla Kwintusa przebaczenia i łaski.

— A Kornelia, narzeczona Kwintusa?

— Dzieli jego niedolę, bo i ona też przystała do sekty Nazareńczyków.

— A to przedziwne historie!... — mówiła Leina z westchnieniem.

## BORSUK AMERYKAŃSKI.

— Jeszcze bardziej się zadziwisz, gdy ci powiem, że krewny cesara, konsul Flawiusz Klemens oskarżony o Nazeranizm, przebywa w mamertyńskim więzieniu. Ale, cóż się znów stało, Filemonie? Zatrzymujemy się co chwila, nie zdążymy na czas do amfiteatru.

— Pani — rzekł lektykarz — siepacze pochwycili jakiegoś złoczyńcę i tłum, który go obstał zatamował nam przejście.

Likoryda wychyliła się z lektyki. Tuż obok przed terrami Tytusa, dwaj siepacze rzucili się na bladego, wysmukłego młodzieńca, który zrazu opierał się rozpaczliwie, wreszcie jednak musiał uleść przemocy.

— Ja widziałem kiedyś tego człowieka — rzekła Likoryda — Filemonie, spytaj o co on jest oskarżony?

Lektykarz jednego z niewolników torującego drogę jego pani, wysłał ku miejscu, gdzie dwaj siepacze krępowali ręce pojmanemu.

Po chwili wysłaniec wrócił.

— Jesto to niewolnik zarządcy cesarzowej, Eurymachus którego przez kilka miesięcy w całym Latium poszukiwano.

— Ach! teraz przypominam sobie! — zawołała Likoryda — Eurymachus! to ów niewolnik którego w moim parku, zeszłej jesieni, podczas zabawy ukrzyżować miano. Poznaję teraz to blade, smutne oblicze... Kwintus uratował go od śmierci. Muszę z tym Eurymachusem pomówić. Filemonie! kaź siepaczom zbliżyć się do mnie! Dwaj drabi zdziwieni wezwaniem pięknej damy, zbliżyli się do wspaniałej lektyki, trzymając pojmanego pomiędzy sobą.

— Słuchajcie! — przemówiła Likoryda uprzejmie — znam tego człowieka i wiem że zarządca cesarzowej przeznaczył pięćset tysięcy sestersów nagrody za schwytanie go. Otóż jeśli chcecie otrzymać zaraz tę nagrodę, odprowadź tego zbiega wprost do Stefanusa, a zarazem oddajcie mu tę tabliczkę na której skreśliłem parę wyrazów.

— Uczynimy jak rozkażesz, dostojna pani.

Likoryda skinęła na Filomena, który z fałdów swego odzienia wydobyl kilka sztuk złota i dał je siepaczom. Galijka tymczasem na woskowanej tabliczce pisała.

„Likoryda pozdrawia Stefanusa!

Jednocześnie z mojem pismem oddadzą ci zbiega, któregoś bezskutecznie rozkazał ścigać. Bardzo cię proszę, abyś Eurymachusowi nie czynił żadnej krzywdy, dopóki nie rozmówisz się ze mną. Przyczynę która mnie skłoniła do tej prośby ustnie ci wyjaśnię. Czekaj mnie z obiadem. Do widzenia!“

Oddała tabliczkę siepaczom i pośpieszyła do amfiteatru z sercem ściśniętym i niespokojnym.

— Muszę się rozmówić z tym niewolnikiem — myślała — wszak to on podobno wciągnął Kwintusa do sekty Nazareńczyków... A przecież ci Nazareńczycy muszą posiadać jakąś cudowną, tajemniczą władzę, skoro takich ludzi jak konsul Flawiusz Klemens, jak Kwintus, potrafili skłonić do siebie...

— Rozpogodź czoło mój feniksie — śmiała się Leaina — myśl o tem abyś wydała się wesołą i czarującą, bo wszak połowa Romy będzie cię za chwilę podziwiała.

Wysiadły z lektyki, a niewolnik kupił im tabliczki z kości słoniowej, na których numera miejsc wypisane były greckimi i łacińskimi zgłoskami. Likoryda i Leaina wzięwszy tabliczki, posród ściśnionego tłumu, dostały się do miejsc które im wskazał posługacz w barwistym stroju. Dały mu kilka srebrnych pieniążków, potem zmęczone usiadły na poduszkach, jakie im niewolnik położył na marmurowych płytach z których tworzyły się szeregi siedzeń.

Amfiteatr przedstawiał majestatyczny widok. Aż oślniewały barwistość strojów, bogactwo klejnotów, blask złotych naramienników i dyamentów. Honorowe miejsca wyznaczone były dla senatorów, a także i dla westalek, które już zajęły je, ubrane w długie, białe, powłóczyście szaty.

Tylko złotem i purpurą obite siedzenie imperatora i przy nim znajdujące się miejsca, były jeszcze puste. Zagłowe płótno wsparte na pięćdziesięciu drzewcach, rozpięte było ponad amfiteatrem, jako ochrona przeciw żarom promieni słonecznych.

(d. c. n.)

Zwierzę to, należące do rzędu drapieżnych i nazywane przez zoologów *Taxidea americana*, zamieszkuje dalekie prerje czyli łąki stepowe, w sąsiedztwie gór skalistych i porzeczce Missouri.

Od naszego borsuka różni się białem ubarwieniem podbrusza, delikatniejszym uwłosieniem i cokolwiek mniejszym wzrostem, który wynosi od 65 do 70 centymetrów na długość, około 30 zaś na wysokość.

Borsuk ma kształt okrągławy, grubą szyję, długą głowę, spiczastą mordkę: oraz małe uszy i oczy. Włos jego jest długi, szarawo popielaty na grzbiecie, rudawy zaś po bokach; przednie nogi zaopatrzone są w silne pazury; zęby posiada dobrze rozrośnięte i może niemi zadawać głębokie rany.

Obudza on zaciekawienie z powodu że ma podobieństwo do kreta, zamieszkuje podziemne nory, które sam sobie buduje. Za miejsce pobytu wybiera sobie zwykle ustronne słoneczne pochyłości leśnych pagórków. Do nory jego prowadzi 4 do 8 wejść: dwa z nich służą borsukowi jako drogi komunikacyjne, pozostałe zaś do ucieczki lub do odświeżania powietrza. Zbierają się one do kotłowni, leżącej o półtora metra pod powierzchnią ziemi i dość obszernej, ją to zamieszkuje borsuk wraz ze swą całą rodziną.

Zwierzę to nadzwyczaj ostrożne, czyste i porządne. Na żer wychodzi tylko nocą i jada buczynę, korzonki, szyszki, trufle, glisty ziemne, jaja, młode ptaki, zające, krety i gady. Podczas dnia wygrzewa się na słońcu u wnijścia do swjej nory, robiąc nawet niewielkie wycieczki; chód jednak ma wlokący się i powolny. Najgorszym wrogiem borsuka jest lis, który potrafi go wypędzić z nory i sam ją zajmuje; niekiedy jednak obaj mieszkają w sąsiedztwie.

Borsuka cenią głównie dla jego nieprzemakalnego futra, które służy do wyrabiania myśliwskich kurtek i toreb.

Rzadko polują na niego w dzień; jest bowiem nadzwyczaj czujny i niepozwała się podejść; myśliwi więc odkrywszy legowisko borsuka, zabierają psy, ludzi z łopatami i harpun z obcęgami, aby wykopać zwierzynę. Przekonawszy się, iż borsuk znajduje się w norze, robią w ziemi otwór ponad nim, potem wyciągają go na powierzchnię za pomocą harpunu z hakiem i zabijają.

Można także chwycić go w mocne sieci, które się zakłada u wnijścia do nory. Borsuk, jak powiedzieliśmy, ma dobre zęby i często stacza zażarte walki z jamnikami, które atakują go w norze.

Wi. U.

## Ze wspomnień starszego brata.

pisał K. J. R. O.

(Dalszy ciąg).

Wymagał również zawsze szczerości od każdego, dowodząc, iż ona jest największym nieprzyjacielem złego, a przyjaźń na prawdzie stoi tylko...

Czasami, późnym wieczorem, jak tylko mógł niepostrzeżenie odłączyć się od towarzystwa, przychodził jeszcze do nas na górę niby dla powiedzenia nam czegoś ważnego i dobrej nocy. Najczęściej byliśmy już wtedy w łóżkach i rażli z odwiedzin prędzej nie poszczaliśmy upragnionego gościa, aż nas zabawił jakim ciekawem opowiadaniem, od którego nawet nie bardzo się wymawiał.

Jużto przepadaliliśmy zawsze i głosowali za „czemś straszem“, czego treścią były zwykle jakieś rozbójnicze napady; ks. proboszcz mając przyjaciół i kolegów, nasłuchiwał się nieraz od nich prawdziwych zdarzeń, tak strasznych, że nam tawiały włosy na głowie.

Raz pamiętam, przyszedł do nas już dość późno, lecz nie zważając na to, swoim zwyczajem zarzuciliśmy go zwykłą prośbą o coś strasznego. Długi czas nie chciał przystać, wymawiając się późną już porą, ale jakeśmy się wreszcie zaczęli dopominać, wołając jeden przez drugiego błagalnymi głosami, powstał taki hałas w pokoju, iż chcąc go uciszyć, zawołał:

— A cicho-że bąki! krzyczycie jakby tu było z dziesięć przekupek z za Żelaznej bramy, a trzeba wam wiedzieć że dużo mówić jest bardzo nie ładnie, a zwłaszcza dla mężczyzny.

— Wiecie co o tem powiedział poeta? Oto: „W ustach jest otwór duszy, a drogie balsamy prędko wietrzeją, gdy je często otwieramy!”

Podobało nam się bardzo to powiedzenie, ale odstąpić od swego aniśmy chcieli.

lając się przytem na ciężki kawałek chleba, a że na tej pogadance zeszło trochę czasu i noc nadeszła, ks. Józef ani chciał pozwolić aby biedny człowiek nie przenocowawszy puszczał się w dalszą drogę. Podróżny nie opierał się bardzo, a że po wieczerzy rozgadali się na dobre, ksiądz kontent że może pomówić z jakąś pocziwą duszą, zabrał go do swego pokoju' gdzie rozmawiali do późnej nocy.

Mówili coś o niebezpieczeństwie na publicznych drogach, o napadach na pojedynczych wędrowców i o złoczyńcach, którzy coraz śmiej docierają do wsi i dworów, kiedy kramarz zwrócił się do niego:

— Ale że to ks. dobrodziej się nie boi — rzekł — tak sam bez żadnej obrony. Jak widzę, służba tu śpi dość daleko, do wsi także kawał, a nie bez tego żeby tam proboszcz nie



Borsuk amerykański.

— No to już dobrze, opowiem wam jeden wypadek o którym mi niedawno donosił mój znajomy, ks. X. ale pod warunkiem, że już potem będziecie cicho; przekonacie się z niego w jaki to cudowny sposób Bóg uratował życie temu, który w Nim pokładał całą swą ufność.

— Dobrze, dobrze, prosimy o ten wypadek! — zawołaliśmy siadając na łóżkach.

— Pewnego zimowego wieczoru — zaczął ks. proboszcz siadając — zaszedł na plebanię mojego przyjaciela, ks. Józefa, ubogi jakiś kramarz, z ciężkim na plecach pakunkiem drobnych towarów. Ks. Józef, znany w całej okolicy z najlepszego w świecie serca, zobaczywszy podróżnego, sam wyszedł do niego do kuchni, a kazawszy gospodyni wynieść mu ciepły posiłek, jął go rozpytywać skąd jest, dokąd idzie, jak mu się powodzi, jak to my zwykle czynimy wchodząc w położenie tych wędrownych kramarzy, którzy dla małego zarobku narażają się na chłód, głód i niewygodę a często nawet i niebezpieczeństwo życia. Kramarz wydawał się pocziwym człowieczyną, odpowiadał szczerze na wszystkie pytania, uza-

miał przy sobie trochę gotówki. Ja tobym się tak bał do prawdy, nie mieć żadnej broni blisko...

— E, moi drodzy — odparł na to otwarcie ks. Józef — rzeczywiście, człowiek ma tam zawsze parę groszy na czarną odłożonych godzinę, ale to się chowa głęboko, a zaś co do broni, to zwykle stawiam sobie przy łóżku starą dubeltownicę, która może jeszcze dać dwa strzały w razie potrzeby, a zresztą — kończył machnąwszy ręką — nie boję ja się niczego. Kto tylko wierzy, że nad nim Bóg czuwa, może być spokojny...

Rozmawiali jeszcze czas jakiś, poczem kramarz pożegnał się odchodząc, ponieważ nazajutrz wyruszyć miał w dalszą drogę o świtanie.

Minęło parę tygodni, pewnego dnia, okoliczni obywatele wracając z polowania, wstąpili w kilku do księdza z prośbą aby im przechował do jutra fuzye, które idącym jeszcze parę wiorst do sąsiada na karty, ciążyły zbytecznie. Ks. Józef szczęśliwy, iż może komu wyświadczyć przysługę, przyjął je chętnie, a bojąc się by ktoś nie ruszył nabitęj broni, postawił



T a t a r z y.

w najbezpieczniejszem miejscu, w swoim pokoju przy łóżku, obok własnej starej dubeltówki.

Tejże samej nocy, został obudzony szcękami wyjmowanych szyb i otwieraniem okna a gdy zapytał się po kilkakroć: kto tam? nie otrzymał odpowiedzi, widząc wsuwającą się do pokoju głowę pomimo ciągłych ostrzeżeń: „kto jesteś bo strzelam! dał ognia.”

Zdawało mu się, że musiał trafić, bo głowa znikła na-

tychmiast, lecz zanim zdołał zdać sobie sprawę z tego, pokazała się druga. Ponieważ ponowne ostrzeżenia nie skutkowały, wystrzelił poraz drugi.

I wówczas głowa się skryła jakby ugodzona, lecz w tejże chwili w ramach okna stanęła cała ludzka postać i dało się słyszeć szyderczym głosem pytanie:

— A teraz co?

Ks. Józef zadrżał. Po głosie poznał biednego krama-

rza, któremu parę tygodni temu dał u siebie na noc przytułek. Serce mu się ścisnęło na widok niewdzięczności ludzkiej, bo trudno było wątpić, że ten człowiek nie z dobrymi przychodzi zamiarami. Zresztą, świadczył o tem aż nadto nóż, z którym wyjąwszy okno wdzierał się do wnętrza pokoju. Proboszcz w innym razie byłby zgubionym. Wyrzeliwszy dwa naboje swęj dubeltówki, zostałby na zupełnej łasce złoczyńcy. Ten jednak pod Boga opieką czuł się bezpiecznym, i ta nie zawiodła jego ufności. Sięgnął ręką po pozostawioną broń msiwliwych i następnym wystrzałem powalił na ziemię zbliżającego się rabusia.

Za nadejściem dnia gdy ujęto postrzelonego złodzieja który nie mógł uciekać, przekonał się dopiero o prawdziwe domysłów. Był to tenże sam podróżny, który pod pozorem kramarza i dalekiej drogi przed sobą, przyjęty na nocleg miał czas wy badać, jak to mówią, grunt pod stopami. Rozpatrzył się w rozkładzie domu a doszedłszy do przekonania, iż ratunek byłby w istocie trudny, a dubeltówka księdza wyda co najwięcej jak dwa strzały, użył podstępny dla pozbycia się i tego niemiłego przyjęcia, wsuwając przed sobą w okno dwa słomiane manekiny, mające w ciemnościach nocy kształt i podobieństwo do głowy i ramion ludzkich, poczem już nie spodziewając się niebezpieczeństwa i pewny wygranej, ukazał własną postać drwiąc szyersko rzuconem pytaniem z bezwładności swęj ofiary. — Tak, tak — kończył wstając już do odejścia ks. proboszcz. Pamiętajcie dzieci, że za ufność pokładaną w Nim Bóg nagradza swą opieką, bo czyż i nie cudownym sposobem ocalał ks. Józef od grabieży, a prawdopodobnie i śmierci?...

I zanim zdołaliśmy podziękować za opowiadanie, wymknął się już z naszego pokoju. Długi czas potem nie mogliśmy usnąć: mimowolnie spoglądaliśmy w nasze okno, czy czasem nie utworzy się ono i nagle cień w niem nie stanie, nie rzuci nam grobowym głosem pytania od którego dreszcz nas przechodził: A teraz co?!

— Wiesz co Janku — odezwał się Marcinek z pod kołdry — gdyby tak do mnie wszedł taki drab i to powiedział, umarłbym ze strachu...

— Ach, a ja bym się schował pod łóżko! — dorzucił Władzio.

— A ty co byś zrobił? — zapytali inni milczącego jakoś Frania.

— Zabiłbym go! — zawołał nawpół sennym głosem, poczem zaczął chrapać usnąwszy niebawem. Za chwilę wszyscy spali.

O ile pamiętam to jedna rzecz uchodziła nam tylko bezkarnie, bo o tem ksiądz proboszcz nie dowiadywał się nigdy. Było to sprzeciwianie się pannie Tekli w sposób bardzo niegrzeczny, bo ile razy chcieliśmy ją wprawić w zły humor, wbiegaliśmy jak huragan do jej pokoiku w oficynie, i powyracaliśmy tam wszystko; w nienawiści burzyliśmy każdy gmach poduszki, wznoszących się piramidalnie w górę na starannie zasłanem łóżku. Sztuka polegała na tem aby wtedy właśnie wyprawiać największe harce, kiedy panna Tekla zmiarkowawszy co zaszło, wbiegała przerażona do pokoju, poczem z ręcznie trzeba było wymknąć się z jej rąk uciekając przed gradem wykrzykników i niepoehlebnych przydomków. Pocziwa jednak dusza nie skarżyła się potem nikomu i trzeba było bardzo niedobrego serca, jakie dziś ze wstydem przyznaję, mieliśmy wszyscy, żeby powtarzać podobne psyoty. Tak minęło lat kilka i my, czterej starsi, przeszliśmy już do szkół. Ks. proboszcz i teraz nie zapominał o nas i pierwszy zawsze oglądając cenzurki, chwalił je lub ganił, udzielając przytem swych rozumnych rad, których doniosłości i prawdy niejednokrotnie już w życiu zdarzyło nam się doświadczyć. W sposób żartobliwy i zajmujący uczył nas nieustannie zasad życia; wpajał odwagę, i trzeźwość myśli tak cenione u męzczyzn, nakazywał niezmiennie od dzieciństwa uszanowanie dla starszych wreszcie nasuwał często sposobność stawiania czoła niebezpieczeństwu.

Przyjeżdżając do domu na ferye, używaliśmy zwykle całą stęsknioną piersią wiejskiej swobody. Ja mając lat

piętnaście, a Franio o rok mniej, należeliśmy już z ojcem zimą do wszystkich odbywających się w okolicy obław i polowań, latem zaś oddawano nam najczęściej pod dozór część zbiórki lub innych zajęć w polu, z których jak najlepsze wywiązanie się polegało już na naszej miłości własnej.

Pamiętam też z owej epoki szczęśliwej młodości, jedno zabawne zajście które mając na celu wy badanie mej odwagi, nieprzewidzianie przybrało śmieszny obrót. Kiedyś, podczas wakacyj siedząc przy herbacie, ogólną rozmowę o odważnem znalezieniu się ludzi w niektórych zagadkowych okolicznościach, skierowano na tchórzliwe usposobienie dzisiejszej młodości. My naturalnie, czując się tem słusznie urażeni, podnieśliśmy głos w jej obronie i jako jedyni reprezentanci, odezwaliśmy się z propozycją wyprobowania na sobie tego zachwianego wątpliwością przekonania.

— Ręczę, że gdyby któremu nawet przyszło teraz noco wać samemu w lesie, rozchorowałby się ze strachu! — odezwała się mama.

— Albo tak naprzykład pójść na cmentarz? — dorzucił rządca pan Emil.

— Ja bym wszędzie poszedł — zawołałem — a na dowód proszę mi oznaczyć jakie miejsce, a wyruszę w drogę natychmiast.

— Patrzcie go, jaki zuch! — odrzekł ks. proboszcz — ale to bardzo pięknie mój chłopcze; wszyscy tu jesteście ciekawi twojej odwagi i jeżeli nam jej dowiedziesz, słusznie odwołamy nasze lekceważące odezwanie, o małości ducha dzisiejszego młodego pokolenia...

— Do cmentarza stąd zadaleko — odezwał się znów p. Emil — ale dzisiaj właśnie, będąc w tanej stronie, zosta-wilem przypadkiem mój harap w niewielkiej kępie. Może byś tam poszedł Janku, a przynosząc mi zgubę, dasz zarazem dowód bystrego umysłu, nie tracącego przytomności pomimo strachu. Powiesiłem go na trzecim drzewie od wielkiego kamienia z prawej strony, na jednej z niskich gałęzi... ciekawym czy też go odnajdziesz.

(d. n.)

## TATARZY.

Początkowe dzieje Tatarów giną w pomroce odległej starożytności. Dopiero na początku XIII wieku wojowniczy wódz ich Dżingis-chan wyniósł państwo mongolsko-tatarskie do wielkiej potęgi podbijając a następnie rabując, paląc i mordując, otaczające go bezgraniczne prawie obszary świata. Taką to chwilę bezprawi tatarskich przedstawia rycina nasza: na wzgórzu dogorywa zamek, którego spaliwszy i zrabowawszy, Tatarzy bieżą już dalej, pędząc przed sobą nie-szczęśliwych, rozpaczających jeńców. W pośród dzikich wojowników jest jakiś znakomity Tatar, gdyż widzimy niesiony przed nim „buńczuk” oznakę wysokiego dostojęstwa. Buńczuk taki jest to ogon koński przytwierdzony na szczycie lancy, zakończonym jeszcze złotą gałką i półksiężcem. Śliczna powieść Deotymy, Branki w jasyrze znana dawniejszym czytelnikom Wieczorów, opisuje obyczaje tatarskie z niezmierną dokładnością i świadomością ich dziejów poczerpniętych przez autorkę, w licznych, mało komu znanych historycznych źródłach. Tatarzy zaludniali także dawniej półwysep Krymski, gdzie po dziś dzień wędrowiec spotyka liczne po nich pamiętki.

## W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

I chytrze błysnęły mu oczy, a szerokie choć kształtne usta rozstarły się uśmiechem złośliwego tryumfu.

Niepodobieństwem było dowiedzieć się od niego coś wię-

cój i p. Tadeusz nie próbował już nawet tego. Na cóż zresztą? teraz już obaj z p. Walerym pewni byli, że odzyskają Józia, a jeżeli mieć mogli jeszcze jaką pod tym względem wątpliwość, to rozpraszał ją swoim zachowaniem się Morill. Wówczas jeszcze gdy Szare-Wilczę znajdował się „w jassyrze“ u Luci, pies polubił go bardzo i nieraz pieszczołami swemi uprzyjemniał jeńcowi chwile ponurój zadumy; teraz zaś nie tylko go od pierwszej chwili poznał, lecz przywitał młodego wodza z jak najżywszą radością, nie odstępował go, lasił mu się, do twarzy skakał, i co chwila na swoich panów spoglądał wzrokiem tak dziwnie rozpromienionym, że ani można było wątpić iż go jakieś wielkie szczęście spotkało.

— Morill! gdzie Józio? — wesołym tonem po raz pierwszy zadał psu to pytanie p. Tadeusz.

— Wiem już, wiem! — odszczeknął pies donośnie i oparłszy obie łapy na ramionach siedzącego przed ogniskiem Szarego-Wilczęcia, zaczął go lizać po twarzy skomlać radośnie.

Faktem więc zdawało się być pewnym, że Józio niedługo już wróconym zostanie ojcu. Tak wnosić należało z mowy Lakondona, który objawił zamiar wyruszenia nazajutrz w drogę o wschodzie słońca.

— Sądziłiśmy, że Szare-Wilczę pójdzie z nami po Królewicyka? — zauważył p. Tadeusz.

— A to poco? — ożywiając się po raz pierwszy zaprotestował młody wódz. — Lakondonowie zrobili już swoje... uczynili jako kazał syn kapłański... Drogę my swoją mamy i w drogę iść nam trzeba...

Zdawać się mogło, że zależy mu co na tem, aby się jak najprędzej z tych miejsc oddalić i oddzielić się jak największą odległością od części puszczy, w której pozostawali Patrizios. P. Tadeusz i p. Walery wpadali na różne pomysły tyżące się owego tajemniczego sposobu, ale nic odgadnąć nie mogąc, udali się wreszcie na spoczynek.

Dzień jutrzejszy miał być stanowczo rozstrzygającym. Krótka noc podrównikowa dzieliła ich tylko od niego i po raz też pierwszy z lekkim sercem i błogą w myśli nadzieją usnęli obaj przy szumie drzew odwiecznej puszczy, kryjącej w swem łonie tyle zagadek i tajemnic, tyle niebezpieczeństw i powabów.

#### IV.

Modlitwa poranna. — Rozstanie z Lakondonami. — Morill idzie w las. — „Osły“ Patrizios'y. — Korespondencya węzłowa. — Spoby Benita. — Opozycya Józia. — Przygotowany napój. — Choroba „dowódcy“. — Skutki „assaku“. — Sympatya Józia.

Różowym brzaskiem płonąć zaczynało niebo w stronie wschodu gdy w obozowisku p. Walerego byli już wszyscy na nogach, a przyznać trzeba, że stało się to dzięki czujności Morilla, bo obaj panowie długo usnąć nie mogli w nocy z powodu niepewności i radosnej nadziei przepelniającej ich serce, twardym snem zasnęli nad rankiem. Ale Morill nie darmo był wodzem wyprawy: jeszcze snem głębokim ujęci spoczywali Lakondonowie, jeszcze polanki nie rozwidniał przejrysty świt błękitnawy, który w gorących klimatach poprzedza nadejście dnia, gdy niestrudzone psisko zerwało się już z bawolój skóry, która mu za posłanie służyła. Wstał, przeciągnął się, strzepnął, ziewnął, potrząsł uszami, znowu ziewnął, raz jeszcze się przeciągnął i... budzić poszedł śpiących. Z wieczora już widać wypatrywał, gdzie się kto do snu ułożył, bo od razu trafiając do każdego ze swoich, każdego zlekka trącił raz i drugi nosem, a kto się na delikatne wezwanie nieczułym okazał, temu cały nos wilgotny i zimny w rękę wcisnął, lub twarzy nim dotknął — że jednak takowy sposób budzenia uważał za zbyt natarczywy, czuł się przeto w obowiązku przeproszać za to... liżąc po twarzy ciepłymi miękkim językiem.

Lakondonów budzić nie było trzeba: gdy rozwidniło się zupełnie, od razu jakby na komendę otworzyli wszyscy oczy i jakby sprężyną podrzuceni zerwali się wszyscy z ziemi. Strój nie wiele im czasu zabierał, mycie uważali za rzecz błahą, w niedługą więc chwilę po obudzeniu gotowi byli do drogi.

Uderzyło to jednak p. Tadeusza, że całemu ich krzątaniu się towarzyszyło jak najgłębsze milczenie, a poruszenia niezbędne przy wstawaniu, przy wybieraniu się w drogę, wykonywali ze spuszczonei oczyma, z jakąś automatyczną sztywnością, zupełnie niepodobną do tej gibkiej sprężystości, która cechuje w ogóle ruchy i postawy mieszkańców puszczy.

Aż dopiero gdy na niebo wstępować zaczął różowo-purpurowy blask wschodu, z każdą chwilą złocistszy i jaśniejszy oni, rzędem ramię obok ramienia uszykowani, z twarzami w stronę wschodu obróconymi, z głową na piersi opuszczoną a oczyma zawsze spuszczonei, śpiewnym, zawodzącym głosem odmawiać poczęli poranną pieśń modlitewną:

„Kwekalhoalta, boże powietrza, wiedzy i życia, złotem słońcem płyniesz po niebie wysokiem.

Księżycem złocone masz komnaty, gwiazd wielu pochodnie w nich płoną, bogiem wiedzy jesteś, powietrza i życia.

Pod stopami błękitne masz powietrze, złotych iskier w nie siejesz tysiące, złotym ogniem palisz się wysoko.

Tyś bóg życia, bóg powietrza i wiedzy! Kędy złotem zaiskrzysz obliczem, kędy ogni swych rzucisz żarzewie, tam do życia się budzi twór wszelki.

Pod strzał twoich płomienną ulewą, liściem buja, owoc rodzi drzewo, łono ziemi wzbiera sokiem życia, na jaw siła wychodzi z ukrycia i do lotu się zrywa ptak wszelki, w skrzydła bije, pieśnią dzwoniśpiewa, gdy strzał twoich płomienna ulewa, przezpowietrze płynie... Złoty, Wielki!

Na powietrze błękitne, przejrzyste, kiedy iskry rozsypiesz ogniste, całe zaraz złotą szybą stanie, tyś powietrza wielki bóg jest, panie!

Żar twój wszędzie ruch i siłę budzi. Tyś Bóg wiedzy! ty w umysłach ludzi, budzisz żądę światła, ty poznanie twój światłości dajesz, wiedzy panie!

„Tyś bóg życia, powietrza i wiedzy!”

Coraz donośniej, coraz uroczyściej płynęła w powietrze pieśń prastara. Umilkli Lakondonowie, można było mniemać, że już śpiewać skończyli... Stali jednak wciąż nieruchomi, oczy dotąd spuszczone, utkwwszy w niebo, od wschodu ognistą zalane purpurą.

Aż gdy z ponad tój purpury strzelił pierwszy promień słońca, oni znowu w pieśń uderzyli, w pieśń radosną, zwycięską, okrzykiem tryumfu w niebo bijącą:

„Tyś bóg życia, powietrza i wiedzy! Oto złotem płoniesz już obliczem, oto ogni już rzucasz żarzewie, złotych iskier już siejesz tysiące, członkom gibkość wracasz, ruch i siłę, światłem bijesz w źrenice zmartwiałe, myśli wracasz poznanie... Tyś bóg wiedzy, życia bogiem jesteś, panie! Złotym ogniem palisz się wysoko, złotem słońcem przepływasz po niebie!”

Ostatnia zwrotka sławiającego hymnu, najstarszej z form modlitwy, wzbila się w powietrze krzykiem radości i dumy, rzucona ku niebu pełną piersią, odśpiewana całą potęgą silnych męskich głosów, do hukania po puszczy przywykłych. A jak z chwilą ukazania się słońca, głos Lakondonów wzrósł się, objętości nabierał i siły, tak samo zmieniała się ich postawa: wyprostowali się wszyscy, w tył przegięli silne, wysmukłe kibicie i twarze ku słońcu tak podnieśli, by ciepło jego promienia na czole swoim uczuć...

Z zajęciem i poszanowaniem przypatrywali się Europejczycy religijnym obrzędowi, pamiętającym zapewne czasy, gdy rozwijało się i ugruntowywało prastare społeczeństwo, dziś już tylko będące garstką niedobitków, skazanych na tułaczkę po lesie.

— Panie Walery — szepnął p. Tadeusz wzruszony — pamiętasz pan?

— Pamiętam — odparł p. Walery nie mniej od młodego człowieka wzruszony i zaledwie echo pieśni Lakondonów przebrzmiało w powietrzu wyłoczonem już teraz światłością rannego słońca, wnet podniosła się pieśń druga:

„Kiedy ranne wstają zorze...”

— Bóg Błdych-Twarzy musi być także bogiem wiedzy — odezwał się Szare-Wilczę, gdy ostatnia nuta zamorskiej

modlitwy wsiąkła w gęstwinię leśną. — Blade-Twarze nie mniej od Lakondonów „wiedzące” choć inne rzeczy znają. Blade-Twarze piorunem ciskają, gdy zechcą... Bóg ich bogiem ognia być musi?

— „Piórem z ognia jest dumnych szyszaków” — odparł p. Tadeusz słowami poety...

— Bladym-Twarzom braćmi są Lakondonowie — podjął Szare-Wilczę — i przymierza dochowują tak wiernie, jako sami wiary od Bladych-Twarzy doznali. W mocy waszej dobrze jest pozostać: gwałtu nie znacie, ani zdrady, ani pastwienia się nad bezbronnymi. Serca niewiast waszych jak ogień ciepłe, jak miód słodkie. Nie zapomnieć tego Lakondonom!

Z uroczystą nad wiek powagą przemawiał młody wódz w imieniu swego plemienia: czuć było, że rozumie obowiązki, jakie wkłada nań piastowana godność, ale i to czuć było także, że żalem wzbiera mu serce przy rozstaniu z Bladymi-Twarzami, że na ustach drga mu jakieś pytanie, którego przez wzgląd na obowiązującą go powagę wypowiedzieć nie śmie.

(d. c. n.)

## Z DALEKA.

Straszne trzęsienie ziemi nawiedziło obecnie Japonię. Miasto Osaka zupełnie zburzone, również jak miasto Nagoya liczące 200,000 mieszkańców. Ucierpiały też bardzo dwa większe miasta Gifa i Ogaki. Wszystkie gmachy publiczne w gruzach, całe ulice się pozapadały, przyczem mnóstwo osób postradało życie. Liczba ofiar w ludziach dochodzi do 3,000 przeszło. Powierzchnia jezior burzyła się i falowała gwałtownie, liczne pomniejsze statki, służące do komunikacji miejscowej, zostały uszkodzone. W Nagoya wybuchł przytem pożar w najbardziej zaludnionej dzielnicy. Komunikacja kolejowa i telegraficzna przerwana była przez dni kilka, zginęło też wielu Europejczyków.

## ŁAMIGŁÓWKI.

Z następujących sylab: Au — ba — es — dus — dur — in — in — ku — kor — lac — loc — mu — net — nia — ter — rin — ril — ru — sand — schwe — sek — wa — wich — zgierz — ułożyć wyrazy, których znaczenie: 1. Rzeka w poł. Azji. 2. Instrument muzyczny dęty. 3. Kraj w połud. Europie. 4. Miasto główne jednego z departamentów połud. Francji. 5. Grupa wysp na oceanie Indyjskim. 6. Miasto fabryczne nad Bzurą w gub. Piotrkowski. 7. Miasto warowne nad Drawą. 8. Miejsce sławne wielką przegraną Napoleona I. 9. Stolica ks. Meklemburskiego. 10. Największa z wysp Wielkich Antylli. 11. Stolica kraiku w Indyach hołdująca Anglii. Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół, utworzą pierwszą literę imienia i nazwisko słynnego powieściopisarza, a końcowe w tym samym kierunku tytuł jednej z jego powieści.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

**TREŚĆ:** Nieśmiertelnik, wierszyk p. Deotymę. — Zabawki naukowe p. A. M. (z drzew.) — Przed lat tysiącem (c. d.) — Borsuk amerykański (z drzew.) — Ze wspomnień starszego brata spisał K. J. R. O. — Tatarzy (z drzew.) — W dziewiczych lasach Ameryki (c. d.) — Z daleka. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Wiązanie Felci p. Mar. (z drzew.) — Złe skutki, wierszyk, p. Ewę Maryę. — Małpy. — Godzina rekreacji, obrazek sceniczny w jednej odstonie p. Bronisławę Porawską. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Karoliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.

spię	wy	w szo	pie	czę	choć	*
pię	bor	nie	cho	ska	bo	na
chło	we	z sier	dżę	i	so	da
stem	żwa	pem	z ko	są	nie	na
Ja	sy	kwa	to	co	znam	da
kieś	.	sy	pra	od	ra	cać
tam	gry	ma	cu	je	na	nu

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 41-go.

Szarały: Pa — ga — ni — ni.

### Łamigłównki sylabowej:

1. Toeplitz.
2. Yankes.
3. Baku.
4. Erdely.
5. Richmond.
6. Yolczou.
7. Umbrya.
8. Setubal.
9. Zaklików.

Tyberyusz — Klaudyusz.

Na dochód **Kasy pomocy** dla osób pracujących na polu naukowem imienia **d-ra Józefa Mianowskiego** wygłaszane bywają w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa (Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.) w środy i soboty o godz. 7-ej wieczorem Odczyty popularno-naukowe, objaśnione odpowiedniami doświadczeniami, modelami i rysunkami.

Odczyty mieć będą p.: Dickstein Samuel: „Z historii wiedzy”, dn. 14 listopada; Kontkiewicz Stanisław: „Węgiel kamienny” 18 listopada; Znatowicz Bronisław: „Fosfor”, 21 listopada; Boguski Jerzy Józef: „Najnowsze postępy w nauce elektryczności”, 25 listopada; Kramsztyk Stanisław: „O księżycu”, d. 28 listopada; Milicer Napoleon: „Wino”, d. 2 grudnia; Fabian Aleksander: „Jak mózg wygląda”, d. 5 grudnia; Fabian Aleksander: „Jak mózg pracuje” d. 9 grudnia; Natanson Władysław: „O temperaturze”, d. 12 grudnia. Zarówno cel jak osnowa odczytów powinny sprowadzić licznych słuchaczy.

*Sprostowanie.* W Nr. 47 na str. 370 w drugiej szpalcie w ósmym wierszu od dołu zamiast *Vhuli* należy czytać *Thule*. Na str. 371 na szpalcie pierwszej w drugim wierszu od dołu, zamiast *wyznać* czytać *wyznawcą*.



# WIECZORY RODZINNE.



## Wiązanie Felci.

W dzień imienin ojca, Felcia weszła do jego pokoju rozpromieniona, uśmiechnięta, z całym koszem kwiatów na ręku.

— Dotrzymałam tatusiowi słowa — rzekła zarumieniona, gdy ojciec ścisnął ją, dziękując za życzenia — ofiaruję moją własną pracę, bo te kwiatki wszystkie z mego ogródka, który sama uprawiałam, sama podlewałam. A oto najpiękniejsze różyczki — powiedziała, podając ojcu osobno związany bukiet — tak się bałam aby tylko na czas rozkwitły! Te tatuś przypnie sobie do tużurka, aby mu przypominały córeczkę — rzekła z pieszczotą.

— I owszem. Jubię kwiatki, a te miłe mi są szczególnie, ponieważ są od ciebie i dowodzą, żeś o mnie myślała, i żeś umiała być wytrwałą i pracowitą. A widzisz, mówiłaś, że nie potrafiłabyś nigdy uprawiać kwiatków, że nie stałoby ci cierpliwości; widzisz, że jak chcesz, to potrafisz zwyciężyć lenistwo i niecierpliwość.

— O prawda, że potrafiłam — ale to tylko dla tego, że miałam na myśli zrobienie tatce przyjemności. Och, gdyby nie to, trudno mi było wytrwać! Ile razy nie chciało mi się iść podlewać grządki, albo wrywać zielsko! Ale nie było rady; gdyby to był zrobił ogrodnik, nie mogłabym powiedzieć: oto moja własna praca!

— Dobra z ciebie córeczka! Dziś przewyciężyłaś

się dla mnie; kiedyś, w życiu potrafisz zwyciężyć się gdy obowiązek tego wymagać będzie — rzekł ojciec.

— Dla tatki zawsze najprzyjemniej się przewyciężyć — szepnęła Felcia.

Ojciec zamyślił się.

— Wiesz co córeczko — rzekł po chwili — taką radość mi sprawiłaś dzisiejszem wiązaniem, że już myśleć zaczynam o dniu moich imienin na przyszły rok. Chciałbym dostać coś od ciebie.

— O! tatuś, coś takiego co ja mogę dać? Co ja potrafię?

— Nie pragnąłbym przecie żadnego niepodobieństwa. Potrafiłabyś, gdybyś chciała, ale czy zechcesz? A ja takbym się ucieszył!

— To naturalnie że zechcę! Ale co to? Powie tatko?

— Powiem. Otóż chciałbym otrzymać także rodzaj bukietu, któryby był twoją wyłączną pracą.

— To chyba sztuczne kwiaty?

— O nie! To dobre twoje przymioty córeczko! Duszyczka twoja, to dla mnie ogródek, piękne zalety, — to kwiaty; brzydkie wady — to chwasty. Otóż w ogródku tym, w twój duszyczce brakuje mi bardzo dwóch zalet... *Cierpliwości i porządku.* Gdybyś tak dla mojej miłości postarała się o nie? Do dnia moich przyszłych imienin cały rok czasu.

— A jakże ja będę wiedziała, że już nauczyłam się cierpliwości? Sama o sobie nie mogę sądzić.

— Sędziami będą: mama i twoja nauczycielka, no i ja, chociaż mniej mogę widzieć, jakie robisz postępy.

Felcia myślała chwilę.

— Będę się starała — rzekła wreszcie rezolutnie. — A ponieważ tatuś wie jakie ze mnie nic dobrego, niech się nie spodziewa nic; a jak mi się uda, to będzie niespodzianka!

Ojciec uśmiechnął się, i przyrzekł że zapomni o tem i że owo wiązanie z porządku i cierpliwości, będzie dlań zupełną niespodzianką.

Czy dotrzyma słowa Felcia?

Nie wiem, ale upłynęło już pół roku, a zabawki bywają coraz mniej rozrzucone po kątach, zeszyty mniej mają kleksów a nawet czasem całą godzinę umie Felcia wytrwać przy jednym zajęciu. Co będzie dalej? Nie wiem.

Mar.

## ZŁE SKUTKI.

„Precz! na śmiecie, wy specyały!”  
Trzask!... i flaszka padła z góry,  
Szkło rozbite na kawały,  
Rzeka robi się z mikstury.

Tak leki niszcząc w chorobie,  
Z krzykiem rzucał je Tomaszek;  
Przez to zaszkodziwszy sobie,  
Sześć aż potem wypił flaszek!...

Ewa Marya.

## MALPY.



Wesoło było młodym małpom w lesie. Zręczne, zwinne, dnie całe spędzały na drzewach. Ani głodu, ani chłodu nie znały.

Wiedziały, gdzie rosną smaczne owoce, gdzie są dojrzałe orzechy, gdzie jakie jagody się znajdują. W nocy włąziły na czubek jakiej palmy, mieściły się pod dużym liściem, i smacznie spały do rana.

Zimna też nie zaznały małpeczki.

Miały coprawda na sobie nie wiele włosa, ale też mieszkały w krajach gorących, gdzie niema wcale zimy, więc to słabe pokrycie zupełnie im wystarczało.

Raz bawiły się, gonily jedna drugą. Wtem widzą, że nadbiega ich matka i daje im jakiś znak.

Przestraszyły się wielce dzieci. Nieraz już je w podobny sposób nawoływano; miało to znaczyć, że nieprzyjaciel się zbliża.

W mgnieniu oka wdrapały się wszystkie na czub drzewa, tam nikt już ich nie dosięgnie. Za chwilę i matka się zjawiła, usiadła przy nich i pokazała wroga. Był to jaguar, okrutny drapieźnik.

Przyczał się za krzakiem i patrzył gdzie się zwierzątka skryły.

Zmęczone i przestraszone usiadły na gałązce i wypoczywały.

Jedna z nich podparła się rączką, główkę zwiesiła i pomyślała:

— Jakieśmy biedne stworzenia! Wszyscy dokoła nas prześladowają, orły, węże, psy, a teraz nowy jakiś nieprzyjaciel się zjawił.

— Co prawda, mało nam kto dorówna! O! niema chyba stworzenia, któremubym się dała złapać.

Smutek wszakże prędko minął. Podskoczyła parę razy, obwinęła ogonem sąsiednią gałąź, dała szturchać siostrze i zaczęły się ścigać. Za nimi pobiegły inne małpki, obleciały pół lasu, dokazywały i siadły znowu aby wypocząć.

Wtem spostrzegają pod drzewem człowieka. Przyczaili się.

Człowiek najpierw spokojnie leżał na trawie, później zaczął się tarzać, obracać na wszystkie strony i po jakimś czasie odszedł.

Małpy uważnie się wszystkiemu przyglądały, a gdy im człowiek już znikł z oczu, wpadły czempredźej na łączkę i poczęły naśladować jego ruchy.

Co tam było koziołków, przewracania się, skakania!

Nagle posłyszały donośny głos matki i chciały biedz ku niej.

Ale, o rozpaczy, żadna ruszyć z miejsca nie może: zaplątały się w siatki.

Zastawił ją człowiek w trawie umyślnie, ażeby je przyłapać.

Wkrótce siedziały wszystkie w jednej z klatek ogrodu zoologicznego.

Marya Weryho.

## GODZINA REKREACYI.

OBRAZEK SCENICZNY W JEDNEJ ODSŁONIE

przez

Bronisławę Porawską.

(Dalszy ciąg).

SCENA III-cia.

CIŻ SAMI ZUZIA.

ZUZIA (wbiegając prędko). Panienko Maniu! otóż szukam i szukam, biegam po całym ogrodzie, panna Aniela do lekcyi prosi.

MANIA (machnąwszy ręką). Właśnie też nam lekcyje w głowie, zresztą jeszcze niema godziny, a p. Anieli tak pilno do lekcyi, jak na bal jaki.

JADWINIA. Ja idę, wolę się uczyć jak należeć do takiej zabawy, która mi się nie podoba.

MANIA (zastępując jęj). Co ci w głowie, chcesz nam zepsuć całą rekreacyę (do Kazia) najjaśniejszy panie! poddani słuchać cię nie chcą.

JADWINIA. Ja nie jestem Kazia poddana, nie potrzebuję go słuchać.

KAZIO. Moja Jadwiniu, jesteś najniezgodniejszą w świecie, ciągle się tylko przekomarzasz, czy nie pamiętasz, że mama każe się bawić zgodnie?

JADWINIA. Tak, ale nie w takie dzieciństwo.

KAZIO. To wszystko jedno, zostań i nie psuj nam zabawy.

MANIA (do Zuzi). A co p. Aniela robi?

ZUZIA. A to nic, siedzi z panią na ganku i czyta książkę.

KAZIO. A mama co robi?

ZUZIA. A też nic, siedzi i szyje coś niebieskiego: ja przechodziłam, a p. Aniela powiada: Zuziu, poszukaj dzieci i niech przyjdą do lekcyi zaraz.

MANIA. A ty co?

ZUZIA. A nic, wzięłam i poszłam.

KAZIO. A co wzięłaś?

ZUZIA. A to nic, tylko poszłam.

MANIA. A panna Aniela co na to?

ZUZIA (śmiejąc się). Też nic, zaczęła znów czytać.

MANIA. To dobrze, jak p. Aniela czyta głośno, to może i zapomni o lekcyach.

KAZIO. Naturalnie że zapomni, miałyby też o czem pamiętać? (wzrusza ramionami). Maniu, wiesz co? a to moźnaby i Zuzię wziąć do téj zabawy, co?

ZUZIA. Ale, mnie tam nie zabawa w głowie, żeby chociaż nie ta panna, co człowiekowi nadeptuje na nogi, to jeszcze, ale tak, (wznosi oczy do góry), Boże zmiłuj się, jednę chwilę niema spokojnej.

MANIA. E, co ci tam panienska, wielka mi historia. A co ona teraz robi?

ZUZIA. Nic, siedzi w garderobie i prasuje.

JADWINIA (siedzi podczas całej tej rozmowy przy bocznym stoliku podparta na rękę i buja nogami). U niej to każda robota nazywa się nic. Czy i ty także nic nie robisz nigdy?

ZUZIA. E, moja panienko, robota robocie nie równa, ja oto, zaraz muszę iść włożyć pannie węgli w żelazko, czy to nie praca? A panna ino suwa i suwa żelazkiem, co mi za umęczenie?

MANIA. Nie pójdziesz, boś nam potrzebna.

ZUZIA. Chyba żem potrzebna, to jak panna będzie krzyczeć i łajać, powiem że panna Mania kazała mi się hawić.

MANIA. Dobrze, dobrze, powiesz co będziesz chciała (do Kazia). Wiesz co Kaziu, że Zuzia mogłaby lepiej być Esterą, ja wolałabym się przebrać za jakiego mężczyznę, to zabawniej.

KAZIO. Mnie tam wszystko jedno, niech i Zuzia będzie Esterą (do Zuzi). Otóż przebieraj się prędko, ładnie, będziesz Esterą, moją żoną.

ZUZIA (z przestrachem). Jej, jej, co też paniczowi przychodzi do głowy, a toż wolę iść do roboty aniżeli słuchać takich andronów. Ja panicza żoną, za nic na świecie!

MANIA. Nie pleć, śpieszmy się, może znów zawołają do tej utrapionej lekcyi, i obrazu nie urządzimy.

JADWINIA. Ja tam Esterą nie będę i koniec.

ZUZIA. Ja też Esterką nie będę, dałaby mi panna!

MANIA (do Kazia). Widziałeś ty co podobnego?

KAZIO. A to dopiero można co zrobić, żeby człowiekowi głowa pękła od myśli, nic nie pomoże.

(Głos za sceną).

Dzieci do lekcyi, Maniu! Kaziu! Jadwiniu!

MANIA (kładąc palec na ustach). Cicho! ani mrumru! musimy ten obraz urządzić, bo już jak mnie co zajędzie w głowę, to musi być.

JADWINIA. Ja idę, p. Aniela woła, to muszę iść.

KAZIO (zastępując jej). Wstydz się, to nie chcesz trzymać z rodzeństwem? tego się nie spodziewałem.

MANIA. Chwilę tylko, urządzimy teatr pyszny, a choć p. Aniela przyjdzie, to jak zobaczy takie historyczne rzeczy, to się nawet ucieszy.

KAZIO. Naturalnie, przecież to będzie jak lekcyja historyi.

MANIA (kręcąc się żwawo). Zaczynamy, Sara już jest, teraz trzeba ubrać Kazia po królewsku (ciszej do Kazia) Kaziu, czy Ahaswerus był królem?

KAZIO (wzruszając ramionami). Czekaj, tylko sobie przypomnę, (po chwili) Ależ tak, tak, przecie siedział na tronie.

MANIA. No, to po kłopotcie, z jedwabnej kapy zrobę ci płaszcz, zaraz ją przyniosę (wybiega).

KAZIO. Aby raz będę królem.

ZUZIA. Okrutniem ciekawa, jak żyję króla nie widziałam, laboga co to będzie, co to będzie!

MANIA (wracając z kapą). Oto jest, okryj się Kaziu, i wchodź na krzesło.

KAZIO (okrywa się kapą i zbiera fałdy na rękę). Najgorzszy interes z koroną; co mi dasz na głowę?

MANIA (namyślając się). Aj! pysznie! wiem, włożysz kapelusza p. Anieli, ten nowy, wiesz: ten ryżowy z białem

piórkiem. Królowie w piórach chodzą, wiem dobrze. To będzie jak korona.

KAZIO. Dobrze, dobrze, ale prędko.

MANIA (do Zuzi). Zuziu, idź przynieś.

ZUZIA. E, ja się boję, jak panienka weźmie to co innego, ale ja... nie... nie pójdę.

MANIA. Wszystko ja, ale niech tam! (wybiega).

JADWINIA (podchodzi cicho do Zuzi, podczas gdy Kazio siedząc na stole, zajęty układaniem fałd płaszcza). Wiesz co Zuziu, uciekajmy teraz.

ZUZIA (również cicho) Bo pewno, uciekajmy (bierze Jadwinię za rękę i wychodzą, lecz we drzwiach spotykają Manię).

MANIA (cofając je do pokoju). A to gdzie? ślicznie uciekać z placu.

KAZIO (odwracając się). Kto ucieka? kto śmie?

MANIA A Jadwinia z Zuzią.

KAZIO (z powagą). Stać na miejscu, król rozkazuje.

JADWINIA (siadając na poprzednim miejscu). To okropność co oni wyrabiają!

ZUZIA (z fantazyją). A niech ta, co będzie to będzie, ale chociaż raz popróżnuję.

MANIA (do Kazia). Patrz Kaziu, oto kapelusza śliczny, doprawdy będziesz jak w królewskim kołpaku.

KAZIO (kładąc kapelusza na głowę). Dobrze, zdaje mi się, że wyglądam wspaniale.

ZUZIA. Nie przymierzając, jak król Herod z szopki.

KAZIO. Co ty się znasz. No Maniu, siadaj tu przy mnie jako moja żona.

MANIA. To będzie Zuzia, Jadwinia damą dworu, a ja... ja... Mardocheuszem.

ZUZIA. Ja będę królową?

MANIA. Tak, będziesz, ale cię muszę ubrać przecie, w tym fartuszkę i sukience, nie podobną jesteś do Estery.

ZUZIA (niepewnie). E, niech mi tam panienka głowy nie zawraca tą królową, gdzie mnie tam do tego, a i pani gniewałaby się może...

MANIA (niecierpliwie). Pleciesz sama nie wiesz co, mamusia dobra jak anioł, miałaby się gniewać.

ZUZIA (wahająco). Panna pewnikiem nakrzyczy.

MANIA (lekceważąco). Także kłopot z panną! (ogląda się po pokoju) W co ja tę Zuzię ubiorę...

KAZIO (przerywając). Także po królewsku, przynieś drugą kapę, tylko prędko.

MANIA. Prawda (wybiega).

KAZIO. Trochę mi gorąco, ale niech tam.

MANIA (wracając z kapą). Daléj Zuziu, siadaj tu przy królu (okrywa ją kapą, Zuzia siada przy Kaziu).

ZUZIA (uśmiechając się z zadowoleniem). A to ci i miło, a tak się bałam być królową, myślałam że nie potrafię, a to i nie trudno.

MANIA (odchodzi parę kroków i przygląda się). Wyglądacie wspaniale!

(Głos za sceną).

Dzieci! dzieci! czas do lekcyi.

ZUZIA (kładąc palec na ustach). Niech panienczki nic nie mówią, niech ja się choć trochę nacieszę tą królową.

KAZIO. A widzisz jak to miło.

JADWINIA (podnosząc się). Ja pójdę, nie mogę przecie udawać że nie słyszę.

**MANIA** (trzymając ją). Cicho! jeszcze chwilę, pójdą nas szukać do ogrodu, my w tym pokoju nie bywamy często, to się nie domyślą, niech nas trochę poszukają, a my tymczasem dokończymy rozpoczętej zabawy.

**KAZIO**. Prędko, prędko, królowej daj co na głowę.

**MANIA**. To najmniejsza, kobieta może być bez korney, dam jej mamusi kapelus, ten nowy, co tatuś przywiózł z Warszawy.

(d. c. n.)

### HOMONIM.

Rolnicze jestem narzędzie!  
Nie brak mi żadnej zalety.  
Choć także nazwa ma będzie,  
Pseudonymem poety.

### ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Macierzanki dla Kampanelli 2.

Z następujących sylab: A — al — cya — dryt — er — furt — in — kas — na — ma — stu — ne — rzym — sel — pol — san — za — york — a — rya — ułożyć 10 wyrazów których początkowe litery czytane z góry na dół utworzą imię żeńskie zdrobniące.

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Hiszpanii. 2. Prowincja w Hiszpanii. 3. Miasto we Włoszech. 4. Miasto w Anglii. 5. Dopływ Wisły. 6. Rzeka w Syberji. 7. Miasto w Saksonii. 8. Miasto n. m. Śródziemnem. 9. Miasto nad rzeką Fuldą. 10. Prowincja o którą wiodą spór dwa mocarstwa.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 46-go.

*Szarady*: Ko — mo — da.

*Łamigłówni kryształowej*:

g  
d o m  
j o d ł a  
g o d z i n a  
o s i k a  
d n o  
a

### Skrzynka do listów.

**Koch. Hal.** Jeżeli Redakcja otrzyma wiadomość o losie Janka sieroty, niewątpliwie podzieli się nią zaraz z czytelnikami.

**Jaśkowi Warszawiakowi.** Redakcja dziękuje swemu „przywiązanemu i wiernemu czytelnikowi” za objaw gorącego współczucia z powodu katastrofy, jaka spotkała Narcyza. Współczucie to, jak również pomysł złożenia drogą składek, przez czytelników Wieczorów, pieniędzy na urządzenie wyprawy dla odszukania Janka — pokazuje nam, że sam Jaśko Warszawiak ma serce szlachetne i gotowe do ofiarności dla potrzebujących pomocy. Ale choćby nawet młodzi czytelnicy złożyli potrzebną sumę, gdzie szukać śladu zaginionego, skoro woda morska dostawszy się do nie dość szczelnie zakorkowanej butelki, zatarła cyfry oznaczające po-

łożenie geograficzne miejsca katastrofy? Nazwiska kapitana „Gwiazdy północnej”, który znalazł butelkę, nie znamy i ono zresztą nie może się w niczem przyczynić do rozjaśnienia smutnej niepewności. Gdzie się znajdowała Atlanta, Redakcja wskazać nie może, ponieważ szczególnie ten jej samą nie jest wiadomy. Jeżeli Jaśko Warszawiak czytywał korespondencję z wyspy od samego początku, musi wiedzieć o przyczynie dla której trzymano to w tajemnicy.

Nie, kochana **Brunetko**, tłumaczeń nie przyjmujemy. Numer żądany pošlemy, łamigłównę przejrzymy w swoim czasie wraz z innymi.

Wierszyk **Topolki** udatny, nie nadaje się przecie do druku i jest do zwrotu w Redakcyi.

**Pieszczotka Mamy** ładny sobie pseudonym obrała; przypuszczamy, że zasługuje na to, żeby być „pieszczoszka”, z tem większą więc przyjemnością witamy nową korespondentkę, którą wprowadza tak miła nam dawna znajoma, jak **Jagódka z pod Arkadyi**. Obie siostrzyczki serdecznie pozdrawiamy przy tej sposobności.

Jak to dobrze, że **M.** „zebrała się” nareszcie na napisanie listu. Serdeczną nam sprawia radość każde zwiększenie się naszej gromadki tak pocziwój, tak ściśelmi węzły z nami związanej. Nie, niema potrzeby powtarzać adresu i nazwiska przy każdym liściku; trzeba je tylko kłaść zawsze na wypracowaniu konkursowem, a spodziewamy się, że należeć do nich zechcesz.

**Kinga** nadesłała łamigłównę, której ortografia sprzeciwia się prawidłu świeżo uchwalonemu przez Akademię Umiejętności. W obcych imionach własnych pisze się X, a nie Ks.

**Bystry koń** niech zechce zastosować do siebie odpowiedź daną **Brunetce**.

**Myśliwy** dobre nadesłał rozwiązanie.

**Kosodrzewina z Babiej góry** odebrała już zapewne swoją nagrodę, która przyznana jej została za akuratność i pilność w wykończeniu roboty. Miło nam że taką uciechę sprawiła, jak również miłym nam jest liścik tak porządnie i na tak ślicznym papierze napisany.

**Rybitwa z nad Liwca** jako nowa korespondentka nie wie zapewne, że wypracowania konkursowe piszą się na osobnych kartkach. Nim jednak jako starszka przestaniesz je pisywać, dziewczeczko miła, mamy nadzieję, że wymienimy nie jedno słowo serdeczne.

**Janinka P.** także zapomniała o naszej prośbie załączania liścików na zupełnie osobnych karteczkach, ale przychodzącym do zdrowia po chorobie wybacza się tak wiele, że przesyłamy jej tylko uścisk serdeczny.

**Czteroczce** posyłamy żądane numerą; wada o której wspominasz, w rzeczy samej brzydka jest wada; przy dobrej woli wszakże wyleczyć się z niej można. Nazwisko, lata i adres wypisać należy pod wypracowaniem.

**P. Jadwiga P.** J my także żałujemy szczerze, że osoba tak ujmująco umięjąca myśli swe wypowiedzieć nie należy do grona korespondentek. Mamy wszakże i sędziwsze starszki, które od czasu do czasu nawiedzają nas miłym słówkiem zawsze bardzo nam przyjemnym.

Drogie Siostrzyczki! Zmieniam mój pseudonym. Proszę was, abyscie równie chętnie jak dawniej do mnie pisywały. Życzenia wam **Kinga**.

Co ci się najwięcej podoba w naszych kochanych Wieczorach, bo mnie „W dzwicznych lasach Ameryki”, „Przed lat tysiącem” i „Z wyspy Atlanty”. Milutka Niezapominajko z nad Warty, bardzobym pragnęła do ciebie pisywać. Odpowiedz mi jaknajprędzej i przyjmijcie serdeczne pozdrowienie od **Maliny z nad Wisty**.

Drogie siostrzyczki! Płacząca Brzoza, Ciszo Wieczorna, Pokrzywko, Niezapominajko z Zacisza, Córko L., Mała Tunguzko i Ruto z nad Dźwiny. Pseudonym mój obrałam sobie z porady babuni. Na imię mi Marya, jestem już starszka. Pośylam wam pozdrowienie jak również Sosnowej Igiełce, Szumiącej Brzozie, Srebrnej Gondoli i Stokrotce z nad Stochodu. **Wróżbiar**ka szczęścia.